

Japonia. Bolesna prawda i atomowe zaklinanie

Obserwując medialne relacje z tragicznych wydarzeń w Japonii, można odnieść wrażenie, że najważniejsze dla tzw. poważnych (tj. spolegliwych wobec polityczno-ekonomicznej władzy) mediów w Polsce jest dziś ratowanie mozolnie kreowanego przez lata wizerunku bezpiecznej energii z atomu. Prezentowani w nich „eksperti” wypowiadają się w tonie uspokajającym lub skupiają na przekonywaniu, że polskie elektrownie atomowe będą bezpieczne.

Reaktory są bezpieczne, doszło do kontrolowanego uwolnienia promieniotwórczej pary, nie doszło do znaczącego skażenia – tego typu informacjami zasypywały nas w ostatnich dniach massmedia. Wypowiedzi te można uznać za groteskowe, biorąc pod uwagę, że jednocześnie te same media podawały informacje o kolejnych poszerzeniach strefy ewakuacji (czyżby naiwni Japończycy nie wiedzieli, że może to wywołać u ewakuowanych „radiofobię”?), ewakuacji amerykańskich żołnierzy (a ponoć małe dawki służą zdrowiu) czy wybuchach w reaktorach (ponoć „fizycznie niemożliwych”).



Zdjęcie satelitarne pokazujące uszkodzenia w Fukushima 1 Dai-Ichi elektrowni jądrowej po trzęsieniu ziemi i tsunami w Japonii. 14.03.2011. Fot. DigitalGlobe

Kampania dezinformacji w mediach przypomina zakłamywanie skutków Czarnobyla tak przez władze ZSRR, jak i agendy ONZ, np. UNSCEAR (Komitet Naukowy ONZ ds. Skutków Promieniowania Atomowego) czy IAEA (Międzynarodowa Agencja Energii Atomowej). Według nich, w Czarnobylu zginęło 31 do 56 osób. Oficjalne raporty całkowicie przemilczają przedwczesną śmierć kilkudziesięciu tysięcy likwidatorów, inwalidztwo ok. 200 000 z nich, jak i dramatyczne długofalowe konsekwencje zdrowotne, szeroko udokumentowane poza WHO (np. raport Greenpeace oparty na pracach setek lekarzy z rejonów bezpośrednio dotkniętych katastrofą).

Rozwój nowotworów trwa latami, a mutacje i wady wrodzone ujawniają się w kolejnych pokoleniach – stąd chór technofilów i entuzjastów atomu radośnie poszczekuje dziś o „katastrofie psychologicznej”, „radiofobii” itd., bo po latach nie da się wykazać jednoznacznych związków przyczynowo-skutkowych. Gdyby konsekwencją DDT był rozwijający się przez kilka lat w utajeniu rak, to środek ten nadal byłby dziś reklamowany i przedstawiany jako „bezpieczny”, a piewcy „nowoczesności” rzucaliby kalumnie pod adresem siejących panikę „pseudoekologów”.

Wydarzenia w Japonii przypominają głośny wypadek z 1979 r. w amerykańskiej elektrowni na Three Mile Island. Po serii błędnie podjętych decyzji doszło wówczas do wycieku chłodziwa w obiegu pierwotnym i częściowego stopienia rdzenia. Według oficjalnych danych, nie było tam ofiar śmiertelnych, nikt też nie doznał poważnego uszczerbku na zdrowiu. Nieprawdą jest jednak jakoby nie było tam długofalowych konsekwencji zdrowotnych – kilkakrotnie wzrosła ilość białaczek i poronień, kilkaset osób miało też objawy choroby popromiennej, ale sprawę utajniono.

Metodą zakłamywania rzeczywistości było w tamtym przypadku uśrednianie dawek na duże obszary. Podobnie jak po Czarnobylu, gdzie skażenia zostały uśrednione na cały obszar sowieckiego imperium (tzn. na prawie całą Azję). Polscy atomiści od lat powołują się na wykres UNSCEAR, z którego wynika, że najpoważniej skażone zostały Bułgaria i Austria, Polska została skażona bardziej niż ZSRR, a generalnie otrzymane dawki były niegroźne i nieznaczne. Wykres nie wyszczególnia ani Ukrainy, na której terenie nastąpił wybuch, ani Białorusi, na którą spadło 70% radioaktywnego

opadu. Na podstawie takich danych umniejszają wagę katastrofy.

Podany 15 marca poziom radiacji w okolicy elektrowni Fukushima I to 12 milisievertów na godzinę, co znaczy, że w godzinę otrzymuje się dawkę 4 razy większą niż ze źródeł naturalnych w ciągu roku. Nawet tzw. dopuszczalna dawka (zbliżona do tła) statystycznie oznacza jeden śmiertelny przypadek nowotworu na 10 000 ludzi. Promieniotwórcze izotopy, jak np. wykryty już w Tokio cez 137 (30 lat półrozpadu, bardzo silny emiter gamma), będą teraz latami krążyć w łańcuchu pokarmowym, przenikać do gleby i wód gruntowych, zabijając powoli i wielokrotnie. Na terenach elektrowni atomowych znajdują się tymczasowe przechowalnie odpadów o różnym stopniu promieniotwórczości. Fale tsunami mogły uszkodzić zbiorniki i rozprzestrzenić skażenia na ogromnych obszarach.

Ale nic to. Polscy „eksperci” nadal uspokajają i zapewniają, że nic poważnego się nie stało, a sytuacja wraca do normy. Ciekawe, czemu zatem operatorzy zdecydowali się na chłodzenie reaktorów wodą morską - prawdopodobnie nigdy już nie będą działać, a to oznacza dla nich wielomiliardowe straty. „Poważne” media już dziś masowo publikują uspokajające artykuły - czyżby obawa o powodzenie polskiego programu nuklearnego? A może jednak lepiej uczyć się na błędach bardziej rozwiniętych krajów?

Konrad Szymański

15.03.2011 r.